Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 2. Stycznia 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 1.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

DUMCIO MÓJ SĄSIAD.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

przez

SEWERA.

Na imieninach u państwa Trybulskich piliśmy wszyscy, jak przystało na dobrych sąsiadów. Bo nie pić znaczyłoby obrazić gospodarza, a narazić się solenizantce, pannie Eugenii zwanej Gieńcią — jej mamie i siostrze Fruzi, mówiącej dużo o komforcie.

— Mój panie, ja sobie nie dam ubliżać — wołał pan Trybulski do tego, który się wahał wychylić szklannego wazonu na kwiaty, zmienionego w kielich wiwatowy.— Wtedy mama Trybulska, proszę uważać, Piekarska z domu, groźnie spoglądała na ofiarę — Gieńcia arystokratycznie przymrużała oczy, a Fruzia szeptała sąsiadce, że Anglicy, u których komfort najwyżej stoi, piją przecież zdrowia wielkiemi kielichami.

— I mowy miewają — kończyła sąsiadka.

—Przepraszam cię — przerwała żywo Fruzia — nie mowy, tylko spicze. — I Fruzia — była zadowoloną z siebie, a sąsiadka zarumieniła się ze wstydu.

Ponieważ nie mam zwyczaju nikomu ubliżać, a tem mniej ojcu solenizantki — schyliłem głowę przed panną Eugienią na znak mej czci — i zmrużywszy oczy, piłem węgierskiego cienkusza zwanego w okolicy dyszczówką, wychylając szklanny wazon do dna.

— Brawo, brawo — wołał pan Trybulski — to mi się nazywa, dawać dowody sąsiadom, że ich się kocha.

Pan Trybulski nie dość, że był zawołany gospodarz i miał obszernych wymiarów żołądek, lecz nadto matka przyroda obdarzyła go organem głosu, pospolicie zwanego basem i dla tego często pan Trybulski również basem się śmiał.

Wyraz »kocha« wymówiony przez pana Trybulskiego wywołał silne przymrużenie oczu ze strony Gieńci, a rumieńce ze strony jej siostry Fruzi.

— Formalnie nie miał ochoty pić — szepnął sąsiad do sąsiada.

— Ale Trybulski nauczyłby rozumu tego panicza z marymonckiej mąki.

Nie byłem bardzo lubiany, nie dla tego, że kończyłem Marymont — lecz, że jeździłem dwa razy do Paryża, a zwykle zimy spędzałem w Warszawie, ztąd mało udzielałem się w sąsiedztwie i okolicy.

Po wypiciu uśmiechnąłem się melancholicznie, patrząc łzawo na solenizantkę, i wtedy panna Gieńcia pochyliła główkę na znak podziękowania.

Otarłem serwetą wazon, nalałem go powtórnie winem i podając sąsiadowi rzekłem:

— Piłem w ręce szanownego pana Dominika.

Wylatujący z fraka pan Dominik, powszechnie zwanym był przez sąsiadów, lud i żydów Dumciem. Żydzi zwykle się o nim wyrażali »ten Dumcio.«

Dumcio zatem prawą ręką pochwycił gwałtownie kielich, a lewą przymocowawszy do oka szkiełko, które dla szyku szajbą nazywał — poskoczył do panny Gieńci i rzucił się przed nią z impetem na oba kolana.

Zrobiła się cisza. Mama Trybulska zmarszczyła brwi — panna Eugenia przymrużając oczy odwróciła główkę — a Fruzia zaczęła coś szeptać o Anglikach do ucha sąsiadce.

— Panowie — zawołał Dumcio — ja takie zdrowia tak piję — patrzcie! Przyłożył wazon do ust i pił tak gwałtownie, że aż się zakrztusił — i spłakał — szajba wypadła mu z oka. Po odpoczynku i konceptach sąsiadów dokończył i nareszcie powstał — a pochwyciwszy rękę panny Gieńci, przemocą poniósł ją do ust i pocałował głośno. Fruzia obrażona szeptała sąsiadce, że Anglicy śmialiby się z nas, a panna Gieńcia zarumieniona kręciła arystokratycznie noskiem.

Skończył się obiad — zrobił się rumor. Pan sędzia pokoju podał rękę pani Trybulskiej, pan Trybulski sędzinie — Dumcio poskoczył do Gieńci — a Fruzia raczyła mi zrobić zarzut tej treści:

— Już mnie to nikt ręki nie poda.

Rzuciłem się do Fruzi z galanterją salonowca warszawskiego, który dwa razy był w Paryżu.

— Jakiś pan dziś nie swój, zamyślony i małomówny jak Anglik — mówiła przez drogę towarzyszka moja.

— A ponieważ pani wysoko ceni ten naród...

— Nie lubię Anglików, lecz tylko stawiam ich komfort i obyczaje za przykład.

Pan Trybulski zwoływał mężczyzn na ganek, na cygara.

Dumcio pociągnął mnie ze sobą do ogrodu.

— No i cóż panie Ignacy — widziałeś? — zapytał kładąc ręce w kieszenie, gdyśmy oba zapaliwszy cygara stanęli na trawniku.

— Widziałem.

— I cóż?

— Nic z tego nie będzie — rzekłem stanowczo.

Dumcio zaczął się gorzko śmiać.

— Ale bo, jak Boga kocham, ja przecie nie do Fruzi — zawołał! — Cóż to nie wiem, że pana do niej ciągną. I jabym wolał Fruzię — młodsza o pięć lat i jaka

ładna?! Fruzia to komfort panie — komfort!

— Ależ sąsiedzie, pleciesz o ciągnieniu — i niechże się rozniesie po okolicy.

— Niechże się rozniesie — ha, ha — a to przecie Szmul co siedział u mnie przez tydzień i przerabiał mi szopy — sam to mówił. A Szmul prościutko wracał od Trybulskich.

— Wierz pan żydom — wierz, a daleko zajdziesz.

— A komuż mam wierzyć? — spytał poważnie.

Tak zaskoczony nie znalazłem na razie odpowiedzi, z czego korzystając Dumcio mówił dalej zapalając się z każdą chwilą.

— Bo się panu zdaje, że Trybulscy to wielka jakaś rzecz. Trybulski niby zawołany gospodarz, a bez pańszczyzny stracił głowę i skręcił kark. Czy pan nie wie ile długu mają na Próchnowie, nie licząc towarzystwa? Weinberger trzyma ich w łapach!... Wielka mi rzecz, że Trybulską Piekarska rodzi. A moja matka Sochacka i umią to ocenić? Gieńcia, żebyś pan wiedział, to już stara panna, obłożonych dwadzieścia sześć lat! Jeszcze do pierwszej klasy chodziłem gdy byłem na jej chrzcinach.

— Lecz od ilu już lat zaszczycałeś pan swoją obecnością szkoły?

— No, od trzech i wielka rzecz. Trybulskiemu prócz tuszy nie wiele zostało, a u mnie wioska czysta jak łza — nawet towarzystwa ani grosza! Te panny umią tylko dąć. Gieńcia okrutnie spasowała, tyje nie na żarty. Widziałeś pan...

— I dla czegóż pan starasz się o Gieńcię? — przerwałem.

— Dla czego? Czyś to pan dziś przyszedł na świat, że się o to pytasz?

— Zaręczam, że nie odgaduję przyczyny.

— A pocóż mnie żadna w okolicy nie chce? — szepnął mi do ucha. — Przecie do Warszawy po żonę nie pojadę.

— Dla czegożby nie? — spytałem naiwnie.

—Nie kpij z bliźniego twego—a kiedy cię tak do Fruzi ciągną, to się ożeń. Fruzia komfort, jak Boga kocham. Żebyś pan widział...

— Z jakich powodów gwałtem mnie pan swatasz z Fruzią? — przerwałem szybko.

— Bo jak się pan sam ożenisz, to i mnie poforytujesz do Gieńci.

— A zatem nie idzie panu o majątek.

— Właśnie, że mi idzie — odparł Dumcio. Idzie mi i bardzo. Abobym to nie wolał wziąć Wikci z Kozieńca — trzydzieści tysięcy rubli! Dali mi ją? Powiedziałem im, że pożałują tego. Wikcia się śmiała, ale niechno ona pożyje ze dwadzieścia jeszcze lat — zobaczymy. Za dwadzieścia lat Włoszyn musi być moim.

— Jeżeliś zatem pan zrezygnował z posagu — zabrałem powtórnie głos — a zgodzisz się, to cię swatać będę.

Dumcio rzucił mi się na szyję całując po twarzy.

— Pokażemy Trybulskim. Czy pan uwierzysz, że ta Gieńcia nie chciała mi dać ręki do pocałowania! Popamięta mnie i ona.

— Panowie! damy się nudzą — zawołał z ganku pan Kaczkiewicz, daleki kuzyn domu, rosły mężczyzna, z dużemi angielskiemi faworytami, noszonemi na cześć panny Fruzi, która chociaż nie lubiła Anglików, lubiła jednak to, co Anglicy mają — jak naprzykład złoto i angielskie faworyty.

— Panowie — zabiera powtórnie głos pan Kaczkiewicz — rozpoczynamy tańce!

W tej chwili dała się słyszeć przygrywka orkiestry złożonej z dwóch skrzypiec, basetli, klarnetu i flotrowersu.

Dumcio kopnął się galopem.

— A to gdzie? — wołałem.

Dumcio stanął, poprawił szajbę i uśmiechnął się.

— Zapomniałem się — chciałem lecieć zamówić Gieńcię do mazura, — tak tylko z przyzwyczajenia. Ale masz pan rację, nie pójdę. Albo ja teraz dbam o Trybulskich, — od kiedy pan mnie swatasz.

W tem miejscu Dumcio uznał za stosowne raz jeszcze mnie pocałować.

— I nie pytasz się mnie pan, kto jest ta, którą mu przeznaczam?

— Ej, na to kochany panie dosyć będziemy mieli czasu, — odparł filozoficznie Dumcio, — wytarł głośno nos w fularową chustkę — wąsy poprawił, szajbę nasadził i włosy nastroszył. — Muzyka grała polkę, a klarnet z flotrowersem urządziły sobie przy tej sposobności wyścigi z przeszkodami, które jakoś dobrze oddziaływały na humor Dumcia, bo uśmiechając się podążył w stronę bawialnego pokoju, w którego drzwiach cisnęła się młodzież, obserwując z neutralnego stanowiska panny, jako przyszłe ofiary swych choreograficznych turniejów.

Wsunął się między nich Dumcio, popatrzał chwilę, i za panem Kaczkiewiczem i jego angielskiemi faworytami przedarł się do salonu. Dumcio nie dla szyku nosił szajbę w oku, gdyż bez niej nie widział na odległość dwóch kroków, chcąc więc przyjrzeć się damom, dziwnie zmieniał pozycję, aby jednem okiem dobrze rekognoskować po salonie. Stojący przy mnie wesoły Staś, zabawiający się ornitologją, porównywał ruchy Dumcia do skoków żerującej sroki, która również bokiem spogląda na swe ofiary i komicznie bokiem skacze zbliżając się do nich.

Ruchy Dumcia wywołały uśmiechy na ustach panien i mężatek, a spowodowały przymrużenie oczu panny Gieńci i arystokratyczny grymas u Piekarskiej z domu. Starsze matedory szeptały sobie do ucha pokazując ruchami ruch Dumcia.

Pan Kaczkiewicz zbliżył się do solenizantki, Gieńcia powstała; pan Kaczkiewicz objął ją prawą ręką w pół i...

— Za pozwoleniem — zawołał Dumcio — ja miałem zamiar tańczyć z panną Gieńcią, tylko żem jej nie mógł dojrzeć.

Gieńcia przymrużyła oczy, a pan Kaczkiewicz odparł z godnością:

— Dla tego zostałeś pan ukarany.

I Gieńca zniknęła w wirze tańca.

— A gdzież panna Fruzia? — pytał Dumcio oglądając się na wszystkie strony.

Fruzia siedziała tuż przy drzwiach.

— Nikt mnie nie wyratuje — rzekła rzucając błyskawicę oczu na gromadkę młodzieży. Młodzi ludzie pospieszyli na ratunek Fruzi, a Fruzia wybrała jednego.

Dumcio musiał się pocieszyć daleką kuzynką gospodarzy. Widocznie nie posiadał artystycznych darów i dla tego tańczył bez taktu a zamaszyście, rozbijając sobą i danserką krzesła i ludzi. Pary ze strachu przed impetem Dumcia posiadały, a wtedy on rozpuścił wodze swym nogom i odbiwszy się od kanpy, oparł się plecami aż o piec.

Kuzynka domu dobrze już podżyła panna, widocznie tryumfowała w objęciach Dumcia. Nareszcie posadził damę, Gieńcia dała znak muzyce, klarnet z flotrowersem umilkły, Dumcio więc nie szukał już Gieńci lecz stanąwszy na środku pokoju sapał, ocierał chustką szajbę i pot z czoła.

— Panowie, kadryl —zakomenderował pan Kaczkiewicz.

Dumcio skokami sroki puścił się na poszukiwanie solenizantki, znalazł ją, lecz już była zamówioną. Fruzia w tej chwili wybiegała z salonu.

— Jeżeli pan pogardzasz polką, mówiła do mnie zatrzymawszy się, to jako znający Paryż powinieneś pan przepadać za kadrylem.

— Przepadam — odrzekłem z emfazą.

— Masz pan już damę?...

— Już ja tam byłem pewny, że kto kogo, to panna Fruzia poszuka pana Ignacego — zawołał z uśmiechem podchodząc do nas Dumcio.

Muzyka grała przygrywkę.

— Służę pani — rzekłem do Fruzi, a surowo spojrzałem na Dumcia, podając rękę damie. Dumcio nie zrozumiał mego spojrzenia, bo uśmiechając się jowialnie, szedł za nami, aby powtórnie stanąć w parze z kuzynką domu, która widocznie tryumfowała.

Pan Kaczkiewicz dobrze prowadził kadryla, Gieńcia tańczyła z gracją — Fruzia po angielsku, Dumcio balansował zawzięcie starając się wypracowywać swój taniec, jak tylko mógł i umiał najzgrabniej.

— Że też tata zaprasza takiego oryginała szepnęła mi Fruzia pokazując oczami na Dumcia.

— Dumcio jest sąsiadem — pochodzi ze starego gniazda i mówią nie zły człowiek — odparłem.

— Czy i w Anglji jest podobna naszej, sąsiedzka niewola? — spytała Fruzia.

— Jak się pani zdaje?

— Nie sądzę — Anglicy co tak lubią - komfort...

Wymówiwszy ten wyraz Fruzia uśmiechnęła się z zadowolenia.

— Pani jesteś wielką zwolenniczką komfortu? spytałem.

Fruzia spojrzała na mnie z dumą.

— Przecież dziką nie jestem.

Nie, nie — Fruzia nie była dziką, lecz oswojoną, ładną szatynką.

— Tak to lubię — wybasował pan Trybulski wstawiając między nas swą potężnych wymiarów figurę.

Fruzia się zarumieniła i spuściła oczy.

— No, no bawcie się, a ty panie Ignacy po tańcu wypijesz ze mną kieliszek wina, za zdrowie Fruzi.

Fruzia drugi raz oblała się rumieńcem z czem jej było bardzo ładnie.

— Czy pani pozwoli? — zwróciłem się do Fruzi mówiąc cicho.

Fruzia po raz trzeci nie zarumieniła się, lecz spojrzała na mnie wzrokiem wielkiego zapytania.

— Damy do środka — komenderował pan Kaczkiewicz. — Balancé — tour de mains — galop.

Kadryl się skończył.

— Panie Ignacy czekamy — zahuczał bas pana Trybulskiego z drugiego pokoju.

Wypiłem zdrowie Fruzi.

— No i cóż, nieprawda, że Fruzia komfort?— szepnął mi do ucha Dumcio.— Widziałeś pan...

— Ależ panie Dominiku odgrażałeś się na Gieńcię — przerwałem.

— A cóż mam robić? Któż to zaręczy, że mnie pańska zechce?! A tu człowiek się ubrał, konie zgonił.

— I niechcesz pan czasu tracić?

— A to się rozumie — zawołał — po czem szepnął mi do ucha — a co, czy nie mówiłem, że pana ciągną do Fruzi — co? Mam ja węch — ale bo też Fruzia komforcik. — Widziałeś pan...

Na czele panien zbliżała się do mnie uśmiechnięta Fruzia, rzucając mi pytanie:

— Czy jesteś pan zdolny odmówić prośbie dam?

— Nie, nie jestem zdolny odmówić prośbom dam — wyrzekłem z godnością.

Dumcio trącił mnie znacząco łokciem i uśmiechnął się, co widząc Fruzia zarumieniła się kończąc troszkę pomięszana:

— Przyszłyśmy w deputacji prosić pana, abyś nam co zagrał.

— Jakiego zawiesistego mazura — zawołał Dumcio.

— Nie żądają od pana rady — przemówiła ostro.

— Ej, panno Fruziu — odezwał się Dumcio.

— Dla pana jestem zawsze Eufrozyną.

— A dla pana Ignacego jak? — zapytał.

Fruzia spłonęła odwracając się szybko. Scisnąłem silnie za rękę Dumcia.

— Oj bo to boli — krzyknął. Panny uciekły do salonu.

— Jeżeli pan piśniesz jeszcze choć słowo — cofam przyrzeczenie — szepnąłem z mocą Dumciowi do ucha i chcąc załagodzić drażliwą sprawę, przeszedłem szybko do salonu.

Młode damy otoczyły fortepian wieńcem, starsze zostały na kanapach. — Uderzyłem o klawisze i patrząc w sufit jakbym na nim szukał natchnienia, zacząłem Nocturno Chopina — smutne jak westchnienie, rzewne jak pieśń samotnego kochanka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZYCZYNA TRZĘSIENIA ZIEMI

(Z POWODU KATASTROFY W ZAGRZEBIU)

napisał

BRONISŁAW REICHMAN.

I.

Trzęsienia ziemi odznaczają się tą cechą szczególną, że nie koniecznie trzeba być na miejscu wstrząśnionem, aby uczuć chwiejący się grunt pod nogami: dość jest zająć się kwestją pochodzenia powyższego zjawiska, aby doznać tego wrażenia.

Trzęsienia ziemi wielokrotnie obserwowano i wiele rozpraw o nich napisano — ale nauka pozyskała w nich tylko opisy miejscowości i symptomatów zewnętrznych.

Wszystkie dane, jakie mamy o trzęsieniach ziemi, podobne są do djagnozy opowiadanej przez wieśniaka o chorobie żony: „coś się jej wewnątrz zepsuło, krzyczy że ją wszędzie boli, rzuca się i t. d.“

Najznakomitsze umysły są w takim samym stosunku do powyższego zjawiska, jak lekarz do djagnozy chłopa.

I nic dziwnego!

Siedlisko tego zjawiska leży gdzieś w głębi ziemi, dokąd się nikt nigdy nie zapuścił i trudno się spodziewać, aby kiedykolwiek człowiek zdołał aż tam zabrnąć.

Katastrofa następuje nagle, bez żadnych zapowiedzi, przebieg ma szybki, tak, że nawet nie można rozesłać badaczy do punktów właściwych.

Wreszcie, odejmuje ona przytomność przypadkowemu obserwatorowi, a tem bardziej tesiącom świadków, którzy myślą o wszystkim, byle nie o obserwacji!

Jednem słowem nauka nie posiada teorji trzęsienia ziemi; są jednak hypotezy odznaczające się wysokim stopniem prawdopodobieństwa — co więcej, spodziewać się można, że są one teorjami zarodkowemi, które dalsza nauka rozwinie, przyprowadzi do dojrzałości, ale ich, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie zarzuci.

Ze względu na niezwykłe zajęcie, jakie wzbudził wypadek w Zagrzebiu, uważamy za stosowne przedstawić czytelnikom stan tej kwestji w ogólnym i popularnym zarysie...

* * *

Chcąc się stać zrozumiałymi dla szerokiego koła publiczności, musimy się uciec aż do zarysowania hipotezy o początku ziemi.

Według Laplace'a — którego wnioski już kilkadziesiąt lat utrzymują się w nauce i są powszechnie przyjęte — ziemia podobnie jak inne planety była niegdyś gazem; wskutek ciągle trwającego zniżania się temperatury we wszechświecie, gaz ten zmienił się na ciecz ognistą, która w dalszym ciągu zaczęła się pokrywać skorupą stałą, twardą tak jak każdy metal roztopiony w tyglu, gdy go z pieca wyjmiemy.

W dalszym ciągu oziębiania skorupa stała kurczyła się i wskutek tego musiała pękać; ognista zawartość wylewała się na jej powierzchnię i na niej tężała.

Potem, gdy oziębienie powierzchni doszło do tego stopnia, że woda mogła się utworzyć ze swoich pierwiastków, powstała olbrzymia atmosfera pary wodnej, która dała początek wiecznie się powtarzającemu kołobiegowi deszczów, rzek i t. d., które zmieniły powierzchnię ziemi, przekształcając i wyrywając skały z jednego miejsca i przenosząc je na drugie.

W ten sposób, wskutek ciągłego oziębiania się skorupy ziemskiej, kurczenia, pękania, wybuchania ognisto-płynnej masy na zewnątrz, oraz zmian, jakie woda uskuteczniała, powstała dzisiejsza postać ziemi z jej morzami i lądami, górami i otchłaniami.

W ogóle jednak biorąc, stan rzeczy jest dzisiaj taki sam jak i wtedy, kiedy woda poraz pierwszy na dobre się rozgościła na ziemi.

I teraz wnętrze ziemi jest ognisto płynne i teraz skorupa ziemska coraz bardziej się oziębia a chłodząc grubieje i pęka i teraz w pęknięcia wpadają masy ogniste i teraz wody dokonywają swego dzieła i teraz wreszcie niektóre punkty obniżają się, a drugie wznoszą ku górze...

* * *

Że to nie są majaczenia uczonych, lecz bardzo logiczne wnioski na faktach wziętych z natury oparte, to okazują, że inne pominę, następujące okoliczności.

Ziemia nie jest kulą geometrycznie doskonałą, lecz jest spłaszczoną przy biegunach, tak, że średnica łącząca bieguny, jest mniejszą od średnicy równika o 42 tysiące metrów.

Fizyka zaś uczy, że aby podobne spłaszczenie u biegunów, a nabrzmienie u równika mogło nastąpić skutkiem siły odśrodkowej wirowego obrotu ziemi, planeta nasza musiała mieć cząstki daleko ruchliwsze, więcej ulegające sile odśrodkowej niż teraz, musiała być w stanie płynnym.

Dla ilustracji tej hipotezy przytoczę dobrze znane doświadczenie fizyczne.

Jeśli w cieczy, mającej taką samą ciężkość gatunkową jak oliwa, pogrążymy wielką kroplę oliwy, to ona przyjmie kształt kuli; jeśli przebijemy kroplę drutem i wprawimy ją w ruch wirowy, to kropla obracając się wraz z tą osią przyjmie postać spłaszczoną u biegunów...

Dalej wiadomo, że ziemia posiada swój zapas ciepła, niezależny od promieni słońca; ciepło to powiększa się z głębokością warstw ziemi, tak, że na każde 30 metrów głębokości przybywa 1 stopień.

Zauważano to w najgłębszych kopalniach i nie ma żadnej zasady przypuszczać, iżby dalej ku środkowi nie miał miejsca ten przyrost temperatury; jeśli więc przyjmiemy, że posuwając się w głąb, ciepło wzrasta w tym samym stosunku, to możemy obliczyć, że w głębokości 9 mil temperatura dochodzi do 2000°.

Taki wysoki stopień ciepła jest aż nazbyt wystarczający do stopienia lawy; pod jego działaniem nawet platyna zamienia się na ciecz.

* * *

Na zasadzie tych danych można łatwo dojść do naturalnego na pozór wniosku, że wybuchy wulkaniczne są to wyrzuty roztopionego wnętrza ziemi, że trzęsienia ziemi są usiłowaniami, są niedoszłemi do skutku wybuchami wulkanicznemi, że wszystkie wulkany są „wentylami bezpieczeństwa dla skorupy ziemskiej“...

I rzeczywiście długo taka teorja panowała w nauce, lecz choć miała za sobą autorytet Humboldta, zarzucono ją przynajmniej w głównym zarysie dla tego, że po bliższym rozbiorze okazało się w niej wiele punktów ciemnych i to

*

punktów najgłówniejszych; niewiadomych zaś rzeczy nie można tłómaczyć niewiadomemi.

Ma jednak ona dotychczas swoich zwolenników.

Aleksy Perrey z Dijon przedsięwziął trudną pracę mającą za zadanie wyprowadzenie wniosku o przyczynach trzęsień ziemi ze statystyki tych zjawisk.

Doszedł on do przekonania, że z 10,000 trzęsień, znanych od połowy zeszłego wieku, największa część przypadała podczas nowiu i pełni.

Na zasadzie tego ogłosił teorję, według której trzęsienia ziemi wynikają z przypływu i odpływu ciekłego wnętrza ziemi, tak jak morza na powierzchni ziemi, pod wpływem przyciągania księżyca.

Teorję tę rozwinął i zmodyfikował nowszemi poglądami współczesny nam uczony niemiecki Falb.

Ostatecznie wyraził on ją w formie następującej:

„Trzęsienia ziemi są to podziemne wybuchy wulkaniczne, wywoływane przez proces oziębiania się ciekłego wnętrza ziemi, ułatwiane przez siłę przyciągania słońca i księżyca“.

Dalej Falb objaśnia swoją teorję wprowadzając podstawy innych teoryj, tak, że nadał jej formę zupełnie eklektyczną.

Oto co powiada:

„Ziemia, tak jak i wszystkie inne ciała niebieskie, ciągle się oziębia w kierunku od powierzchni ku środkowi, wskutek czego coraz się bardziej kurczy.

„Gazy zawarte w wnętrzu ziemi, ulegając w ten sposób wielkiemu ciśnieniu, starają się z pod niego gwałtownie wydobyć, a ztąd powstają wybuchy wulkaniczne oraz trzęsienia ziemi; gazy muszą sobie naprzód utorować drogę, a ztąd przedewszystkiem silne uderzenie.

„Po usunięciu przeszkody, następują większe lub mniejsze ruchy wirowe wywołane przez przyciąganie księżyca i słońca, które, podobnie jak na przypływ i odpływ morza, działają na ciekłe i gazowe masy wnętrza ziemi.

„Działanie to tem jest silniejsze, im bliżej ziemi znajdują się księżyc i słońce.“

Rzeczywiście statystyka okazała, że częstsze są trzęsienia ziemi w zimie i jesieni, niż na wiosnę, częściej przypadają gdy ziemia jest bliżej słońca, niż kiedy jest dalej, częściej podczas pełni i nowiu, niż podczas innych odmian księżyca — ale ta przewyżka jest tak małą, że pozwala przypuszczać tylko bardzo słabe działanie tych okoliczności i każe upatrywać w nich przyczynianie się, nie zaś przyczynę.

Statystyka trzęsień dała jeszcze początek innym przypuszczeniom.

I tak ponieważ okazało się, że zjawiska te bywają częstsze po deszczach niż po suszy, że podczas ich trwania spada zwykle barometr i termometr, wniesiono, że przyczyną ich jest pogoda.

Znaleziono także związek pomiędzy plamami słonecznemi a trzęsieniami.

Wreszcie, ponieważ ziemia częściej ulega podobnym zaburzeniom w nocy, aniżeli w dzień, więc mógłby ktoś oprzeć hypotezę na ciemności...

Jednem słowem, przeszło 10 tysięcy znanych i opisanych trzęsień ziemi przedstawia najrozmaitsze okoliczności, mogące służyć za materjał do różnorodnych hypotez.

Ale to właśnie okazuje, jak mało należy polegać na statystyce.

Falb jednak z wielką stałością i przekonaniem broni jej znaczenia i nawet przepowiada, że wskutek odpowiedniego położenia ciał niebieskich w dniu 31 grudnia powtórzą się w Zagrzebiu „lekkie drgania.“

Dlaczego nie silne, jeśli 31-go grudnia ziemia będzie najbliższą słońca?

Może to jest zastrzeżeniem się... a może... Zresztą zobaczymy.

Kronika Tygodniowa.

Przebyliśmy szczęśliwie, ciepło, zdrowo i wesoło święta. O ile dochodzą nas wiadomości z różnych stron kraju, wszelkie tegoroczne pieczywa rosły przewybornie, a nawet w Krakowie nie miały zakalca, więc też z dobrym apetytem do szczętu zjedzone zostały. Lekarze tylko i aptekarze chodzą z nosami spuszczonemi na kwintę; za to nadobne ich żony tryumfują przekonawszy pacjentów meżowskich, iż kuchnia ich daleko jest zdrowszą od kuchni łacińskiej. Tak tedy skoro ten stary hultaj 1880ty w końcu żywota swego obszedł się z nami po ludzku i bardzo uprzejmie przeniósł się do historji, mamy nadzieję, że następca tronu 1881 nie będzie gorszy od ojca. Zawsze to młode serce więcej jest skłonne do zapału i szlachetniejszych porywów, niż zgrzybiałe i znudzone życiem. A proszę nam wierzyć, że nie mówimy tego bez pewnych danych; mieliśmy sposobność podsłuchania jakie ten rok ubiegły dawał nauki i rady swojemu następcy. Najprzód powiada: staraj się zalecać Polakom... daję słowo kronikarskie, tak mówił. Widzisz dziecię moje, Polacy to naród dobry i ma w sobie wiele miłości własnej, połączonej z chęcią podobania się; coś tak samo jak młoda ładna dziewczyna pragnąca się wydać za mąż. Przepada za komplementami i lubi hołdy... Pochlebiaj, pochlebiaj i jeszcze raz pochlebiaj, a rzuci się w twoje objęcia.“

Czego mamy się zapierać! Mamy aż trzech konkurentów robiących do nas czułe oczy... Czyby już był czas wyjść nam za mąż? Może. Dość obejrzeć się dokoła, a zewsząd cisną się do nas. Ot w przeszłym tygodniu Berliński Tagblatt tak powiada: Panowie Polacy oddajcie nam swoją rękę. Jesteśmy wszechmocni i jakkolwiek jeszcze na dorobku, to jednak wszelkie szanse za nami. Każdego rywala potrafimy pobić i zabrać sobie brzeg Wisły z Warszawą; kto zaś ma Warszawę — ma Polskę (?). Austrji, którąby także miała ochotę iść do Warszawy, pokażemy figę z Saloniki — tam dla niej otwarta droga. Więc panowie Polacy, zawsze lepiej odrazu porozumieć się z nami i basta!

Z drugiej strony konkurent Moskiewski umizga się trochę delikatniej. Gołos powiada, że patrjotyzm polski jest rzeczą wielce godną szacunku, a książe Golicyn redaktor *urzędowego* warszawskiego dziennika, ogłaszając inseratem w Dzienniku Poznańskim o swojem istnieniu, zapewnia, iż budować będzie *złoty most* między Polakami i Moskalami... dalibóg tak otwarcie powiada. Wreszcie co do naszej Austrji — nie ma co mówić. Kto nie spał przez ten rok, mógł widzieć i słyszeć i czuć o ile jesteśmy kochani, drodzy, poczciwi, jedyni — z czego Bogiem a prawdą smucić się nie ma potrzeby... Otóż reasumując to wszystko razem z ołówkiem w ręku, a kalkulacją w głowie, wypada, że jesteśmy bliżej niż się zdaje wesela starego świata na grobie pani Turcji, i że na to wesele będziemy zaproszeni na drużbów. Baczność tedy szanowni rodacy, żeby nas nie kupiono za piękny uśmiech lub ziarnko soczewicy... To wszystko słowo do słowa powiedział mi umierając rok stary, i co uważam za swój kronikarski obowiązek głośno powtórzyć!

W ubiegłym tygodniu, ze sprawą teatru Skarbkowskiego tyle nowego, że szanowna Rada fundacji, na serjo rozpoczęła taniec wśród mieczów, ale jakich mieczów! Gdybym się nie obawiał o posądzenie mię o plagiat z szanowne go Siemiradzkiego, to powiedziałbym, że szanowna Rada fundacji Skarbkowskiej stoi przed nami w tej samej pozycji i w tym samym stroju i między takiemi samemi mieczami co jego tanecznica... Czy wyjdzie i jak wyjdzie z tego tańca, niedaleka przyszłość pokaże, a ja mam nadzieję, że dopiero za parę tygodni będę mógł o tem donieść czytelnikom*).

* * *

Dzięki łaskawej uprzejmości jednego z czcigodnych weteranów 1831 r. W. Mieczysława Darowskiego, czytaliśmy list, jaki otrzymał z Florencji od swego serdecznego przyjaciela, znakomitego poety naszego, Teofila Lenartowicza, pisany w dzień listopadowej rocznicy.

Listu tego drukować nam nie wolno, lecz pozwolono nam obdarzyć czytelników ustępami, w których serce poety, uczuciem przepełnione, wylało się w mowie wiązanej:

Poeta w r. 1831 miał lat 7, mieszkał na wsi pod Rawą i pamięta dobrze jak przez Rawę przechodziły wojska polskie i jak on śpiewał włościanom patrjotyczne piosenki i nosił im wiadomości z pola bitew:

«Jako ja im na stole postawiony — żwawo —
W karczmisku o wygranej piszczał pod Warszawą.
Dzień był wielkiego mrozu, aż trzeszczały gonty,
A lud w kitlach płóciennych, ciągnął sznurem długim,
Oddziały kosynierów w świat, jeden za drugim,
Starszyzna konno, jeden drugi a dziesiąty
Śpiewający też sobie o Litwie za Bugiem.

Kosynier mnie obnosił ubogiego żaka
W pośród siedzących kmieci, od stołu do stoła,
Narodowa obrona na wojnę szła taka,
Czeladka miasteczkowa, pracowite sioła.
Pamiętam polskie wojsko, ludzi i mundury,
Wolnych strzelców z trupiemi główki na bermycach,
Nasze białe Krakusy, i szare Mazury...
Wszystko co po lesistych przeszło okolicach,
W duszy mi pozostało, jak wyglądał który.
Raz po nich, raz po miłych patrzałem rodzicach,
A gdy bębny zagrzmiały w nieodległym lesie.
Leciałem niewiedzący co i jak mnie niesie.

Ach! niosła mnie ta piosnka, która od tej chwili
Jako ojczysty pacierz w duszy mi została,
Pięćdziesiąt lat my odtąd w niewoli przeżyli,
W mogiły poszło wojsko, a ona wciąż cała,
Taka jak była wówczas, gdy się nasi bili,
Kiedy maszerowały nasze polskie działa;
W myśli wiernych ojczyźnie z świętym szumi znakiem,
Jak niegdyś pod Grochowem, nad dzielnym czwartakiem.

Dalej, zwracając się do weteranów i rycerskiego pokolenia 31 roku poeta woła:

«Duszą kraju zaprawdę kto był jeśli nie wy?
Naszej Polskiej Ojczyzny, jej dumą i chwałą —

---

*) W ostatniej chwili dowiadujemy się, że teatr lwowski, dostał się p. Adamowi Miłaszewskiemu.

Oni tam myślą o nas, wciąż szeptały dziewy,
Oni tam lepiej wiedzą koło powtarzało.
I wiara się czepiała do łachmanów nędzy,
I życie narodowe snuło się z tej przędzy.
Lud nie wiedział, nie pytał kto i jacy oni;
Chorągiew wam świadectwo przynosiła złote,
I echo rozproszonych szczątków polskiej broni,
I serce jakąś życia budzące ochotę.
Ile dusz — tyle było wyciągniętych dłoni,
I świat inaczej patrzał na polską sierotę.

Wolność i niepodległość hasła niespożyte,
Których strata i stratę cześci z sobą wiedzie,
Przez gościńce was wiodły nieobłędne — bite;
A orzeł nasz ojczysty leciał wciąż po przedzie,
Budząc w umysłach ludów szczerą cześć niekłamną,
I mogła wtedy Polska wołać: ludy za mną!

Będzie Ojczyzna, będzie — nie z pijanej wrzawy,
Ani z tych czół wyniosłych co się z Bogiem mierzą;
Z ubogich co w Opatrzność i w Ojczyznę wierzą,
We snach miłują Polskę, a stawiają w jawy,
Opartą na lemieszu i wieśniaczej kosie,
Świeżą, zapracowaną, jak ta ziemia w rosie.

WSPOMNIENIE Z PRZESZŁOŚCI.

JÓZEF ORSINI I Dr. BERNARD

napisał

Dr. Jan Stella Sawicki.

W marcu 1858 r. po powrocie z Hiszpanji, po raz pierwszy przybyłem do Paryża, wkrótce po zamachu Orsiniego, który rzucił bombę pod karetę Napoleona III (14 stycznia 1858). Mnóstwo ofiar, które wtedy zginęły, oburzyły opinję publiczną przeciwko człowiekowi, który dla zgładzenia cesarza nie zawahał się zabić i poranić tylu ludzi. Jednak proces publiczny i znakomita obrona obwinionego i jego wspólników: Pietri, Rudio i Gomeza, młodość i piękność Orsiniego, szlachetne zachowanie się ich przed sądem, zmieniły zapatrywania ludzi, których nie brak we Francji i dla których obowiązek względem ojczyzny nie jest marnem słowem. Sympatja zastąpiła miejsce nienawiści ku sprawcom zamachu. Nikt już nie mówił o „vils assassins“ lecz o „malheureux Italiens“. O wyroku, który miał wypaść na obwinionych nikt nie wątpił; nikogo też nie zdziwiła wiadomość, że Orsini, Pietri i Rudio zostali skazani na śmierć, a Gomez na dożywotnie więzienie. Jak prokurator w sądzie, tak gilotyna na placu miała powiedzieć swe ostatnie słowo. Byłem niezmiernie ciekawy zobaczyć ostatnie chwile ludzi umierających za ideę.

W Paryżu jednocześnie ze mną był kolega dzieciństwa mego, kapitan dragonów, z którym łączyły mnie węzły szczerej przyjaźni, w ciągu bowiem długiego wspólnego życia w szkole wojskowej, a potem w gwardji, nigdy między nami nie przebiegła najmniejsza chmurka nieporozumienia. Otóż jemu udało się wynająć okno w domu grabarza mieszkającego tuż obok placu na którym mieli być traceni patrjoci włoscy. Za okno zapłaciliśmy 50 franków.

W wilję egzekucji otrzymaliśmy od właściciela domu kartkę, w której doradzał nam przybyć tegoż dnia wieczorem, gdyż z rana plac będzie otoczony wojskiem i nie łatwo będzie dostać się do najętego okna. Nie namyślając się długo, udaliśmy się na miejsce. Była już dziesiąta wieczorem. Plac de la Roquette, mający fatalny przywilej przyjmowania ostatniego tchnienia skazanych na śmierć, wyglądał ponuro. W środku jego na wzniesieniu z desek stała na czarno pomalowana gilotyna, a świeżo wyostrzona siekiera odbijała słabo światło lamp gazowych stojących w oddali. Zwodzony mostek, prowadzący z więzienia skazańców istny *ponte del sospiro*, był podniesiony.

Plac był zupełnie pusty, tylko jak mara okropna stała przed nami gilotyna, gotująca się do spełnienia aktu zemsty ludzkiej. Zwodzony mostek mimowolnie nasuwał myśli o wszystkich, którzy tą drogą przedwcześnie przeszli do wieczności. Domek grabarza biało pomalowany i niezmiernie schludny, był napełniony trumnami różnych rozmiarów i mnóstwem wianków i bukietów z kwiatów sztucznych.

Wszystkie trzy okna w domku były wynajęte przez różne towarzystwa takichże ciekawych jak i my.

Ponieważ egzekucja miała się odbyć o szóstej z rana, o świcie (było to w marcu), a noc mieliśmy przebyć w domku grabarza, postaraliśmy się przeto o krzesła i ławki, żeby się choć przedrzemać cokolwiek.

Około godziny drugiej w nocy, gdyśmy zaczęli sobie chrapać na dobre, ktoś począł nas budzić, ciągnąc za nogi. Otworzyliśmy oczy i zobaczyliśmy trójgraniaste kapelusze ajentów francuskiej policji, która otrzymawszy doniesienie, że ktoś chce rzucić wieniec na rusztowanie, kazała oczyścić wszystkie przyległe domki i rozpędzić ciekawych. Na nic się nie przydały protestacje nasze że zapłaciliśmy za miejsca. Z grubjaństwem, które charakteryzuje francuską policję odpowiedziano nam „decampez vite Messieurs, plus vite,“ a widząc że jakoś nie bardzo się spieszymy, zaczęli wołać: „depechez vous, car nous ne sommes pas ici pour voir prendre vos aises.“ Poubieraliśmy się i jak nie pyszni, obawiając się energiczniejszego wezwania stróżów francuskiego cesarstwa, ocknęliśmy się na ulicy. Zimno było bardzo przenikliwe, a fiakrów ani na lekarstwo. I przyszło nam iść piechotą do miasta, do mieszkań oddalonych o dwie godziny drogi od placu Roquette.

Zmęczeni i przeziębnięci dotarliśmy do domu, ale postanowiliśmy bądź co bądź widzieć egzekucję; ogrzawszy się więc nieco i odszukawszy fiakra o piątej wróciliśmy na nowo na plac kary, który już został otoczony wojskiem, bo rząd obawiając się demonstracji, rozwinął wielką siłę, ażeby odjąć chętkę żartowania z nim. Za wojskiem, pomimo bardzo rannej godziny stały masy pospólstwa, tłoczącego cię i cisnącego aby dotrzeć jak najbliżej do rusztowania. Zwodzony mostek już był spuszczony na platformę. Oczekiwano uderzenia godziny szóstej. Pospólstwo naciskane z tyłu przez swoich, a z przodu przez wojsko wydawało okrzyki różnego rodzaju. Stojące niedaleko nas młode dziewczęta aż w dłonie klaskały, sądząc że będzie jaka utarczka uliczna i powtarzały: „il y aura une escarmouche.“ Lecz życzeniom ich nie stało się zadość, bo w chwili największego gwaru na wieży uderzył młot zegaru zwiastujący szóstą godzinę. „Silence!“ wyleciało z tysiąca ust i cisza zapanowała taka, że każde wyrzeczone słowo nawet w oddaleniu słyszeć było można. Drzwi więzienia otworzyły się i pokazali się skazani: Orsini i Pietri. Rudio i Gomez pozostali w więzieniu, bo cesarz zamienił pierwszemu karę śmierci na deportację razem z Gomezem.

Orsini szedł na przedzie, podniósłszy dumnie głowę, za nim szedł Pietri i drżącym głosem śpiewał Marsyliankę. Rzadko można zobaczyć tak piękną i tak szlachetną twarz, jaką miał były członek zgromadzenia narodowego w Rzymie. Czarne włosy gęstemi zwojami spadały mu na szyję; czarne oczy, z pod wysokiego i bladego czoła spokojnie patrzyły na wojsko; na tłumy otaczające. Krokiem powolnym, spokojnym i pewnym zbliżył się do fatalnego pieńka, przy którym stał kat czerwono ubrany; potem obróciwszy się do towarzysza niedoli rzekł: „przestań śpiewać Pietri, będą myślić, że spiewem chcesz przytłumić mimowolny strach przed śmiercią;“ ale Pietri spiewał dalej jak gdyby nie słyszał, słów swego kolegi. A gdy kat kazał Orsiniemu stanąć pod gilotyną i uklęknąć, Orsini jeszcze raz spójrzał na tłumy i wykrzyknął: „Vive la France! vive l'Italie! je trouverai les vengeurs“! potem ukląkł, a kat spiesząc sie, żeby scenę tę prędzej zakończyć, spuścił sznurek fatalny. Z sykiem zleciała siekiera na dół, a głowa nieszczęśliwego stoczyła się na pomost. Kat podjął ją za włosy i podniósłszy w górę pokazał ludowi. Westchnienie zgrozy i przerażenia wyrwało się z wielu piersi. Ażeby nie zdjęto maski z zabitego, kat z rozkazu policji zanurzył głowę w naczynie napełnione kwasem siarkowym.

Pietri, spiewając marsyliankę ukląkł i w chwili gdy wykrzykiwał „Formez vos bataillons“ upadła siekiera ponownie i oddzieliła czarną jego głowę od tułowia. Kat nachylił się i podniósł ją w górę. Oczy szeroko otwarte z przerażeniem patrzyły jeszcze. Po umoczeniu i tej głowy w kwasie siarkowym, kat i pomocnik jego wrzucili ciała do paki, a wojsko ruszyło wszystkiemi ulicami, pędząc przed sobą tłumy zebranych i nie pozwalając im zbliżyć się do rusztowania.

Pod ciężkiem, smutnem i pognębiającem wrażeniem wróciłem do domu, myśląc o ostatnich słowach Orsiniego.

(Dokończenie nastąpi.)

Z ŻYCIA RUMUNÓW I BULGARÓW.

Wschód chrześcijański nie odznacza się zbyteczną religijnością — zamieszkujące go ludy zachowują wprawdzie obrzędy religijne, lecz spełniają je powierzchownie, raczej przez zwyczaj, a nie przez wiarę głęboką, której śladów trudno tam dopatrzeć, nawet pomiędzy samymi przedstawicielami stanu duchownego.

Najwykształceńsi z nich, Rumuni, więcej jeszcze dbają o pozór, że się tak wyrazimy o *decorum.*

Czczość swego życia starają się pokryć formami zewnętrznemi; większe ich miasta zapełnione są okazałemi cerkwiami, obrzędy religijne mają pewną wystawę, inteligentniejsze klasy rozprawiają nawet szeroko o kształceniu ducha i jego potrzebach, w rzeczywistości jednak jest to tylko wielka blaga, spotykana zresztą u Rumunów na każdym kroku.

Zabobonność też ludu rumuńskiego jest przysłowiowa: ma ona pewne odrębne cechy, a

słownik przekleństw obfituje w takie niezwykle a straszne wyrażenia, iż w wobec potoku tych klątw więdną najbardziej otrzaskane uszy.

W złej czy dobrej godzinie Rumun kląć musi; jest to okrasa każdej chwili jego życia — nią się posługują tak dobrze mężczyzna jak kobieta, a nawet młodziutkie, często piękne usta.

Przytoczę tu jeden wybitniejszy przykład.

W r. z. metropolita rumuński, człowiek, jak powiadają, światły i troskliwy o dobro swej owczarni, odbywał objazd metropolji; ponieważ w wędrówce tej wypadało mu często zbaczać z wielkiego gościńca, obsługę około powozu pasterza czyniła zwykle ludność okręgu, w którym podróż wypadała.

Dostojnik ten kościoła, znając narowy swych owieczek, zwykł był wsiadając do powozu dawać surowe napomnienia woźnicy, ażeby przez pamięć i winne uszanowanie wiezionej osobie wstrzymał się od klątw i wszelkich niewłaściwych wyrażeń.

Zakaz ten, jakkolwiek dla Rumuna ciężki, był wszakże powszechnie szanowany.

Zdarzyło się wszakże raz, że kareta metropolity gdzieś na bocznej drodze ugrzęzła głęboko w glinianej ziemi rumuńskiej.

Nie mogły nic poradzić nawoływania i smagania niezłych zresztą szkapiąt— powóz z miejsca nie ruszał.

Woźnica się męczył, zsiadał z kozła, ciągnął za uszy konie — wszystko napróżno; podchodzi tedy do biskupa i nuż całować go po nogach.

— Czegoż chcesz człowiecze? — pyta pasterz zdziwiony.

— Konie niechcą iść.

— Daj im wypocząć, może pójdą.

— To się na nic nie zda — powtarza płaczliwie Rumun.

— Więc cóż?

— Pozwól wasza świątobliwość choć parę razy zakląć, a konie wnet ruszą!

Nie wiem jak sobie poradził z tą prośbą metropolita, to pewna, iż nie przekonał Rumuna, przeświadczonego głęboko o skuteczności proponowanego przezeń środka.

Do zabobonów rozpowszechnionych w Rumunji należy również obyczaj pogański składania ziemi ofiary!

Zwie się to w języku miejscowym *pomana*.

Rumun każdą czynność, każdą pracę, a nawet zabawę rozpoczyna od pozostawienia czegoś w ofierze ziemi.

Nieraz zdarzyło mi się spotkać chłopa wiozącego zboże w podziurawionym worku, z którego sypało się ziarno — zatrzymuję go i ostrzegam.

— To nic — odpowiada spokojnie — to *pomana*...

W innym znów wypadku widziałem biesiadników wylewających z dobrą wolą połowę napełnionej winem szklanicy; czynili to w tem przekonaniu, iż napój nie pójdzie im na zdrowie, jeżeli nie będzie wprzód spełniona *pomana*.

Nawet złodziej, ukradłszy pieniądze, rzuca na ziemię jakąś część drobnej monety, skarbiąc sobie w ten sposób bezkarność występnego czynu!

Chociaż co do tego ostatniego punktu wypada nadmienić, iż Rumun często bardzo zabija, grabi, napada, ale rzadko dopuszcza się zwykłej kradzieży.

Czem to się dzieje? po prostu wybiera najkrótszą drogę, nie wymagającą wielkich zachodów i obmyśleń; tembardziej gdy gwałt jawnie spełniony, przy niemoralności władz policyjno-administracyjnych najczęściej mu bezkarnie uchodzi.

Od zabobonności Rumuna różną jest zabobonność Bulgara — tu wpływ islamu widoczniejszy.

Bulgar wierzy w przeznaczenie, liczy się z siłą, której wyrazem jest fatum i jej się całkowicie poddaje.

Przesądność jego miesza się z przechowaniem dawnych zwyczajów słowiańskich i obyczajami tureckiemi; nie używa on tylu klątw, a przynajmniej nie tak strasznych jak Rumun, ale wyzuł się za to nawet z form religijności.

Dopóki kościół i religja były bronią polityczną, Bulgar chętnie się nią na każdym kroku posługiwał — płakał i narzekał (jak dziś to czyni, ilekroć mówi o panowaniu tureckiem), iż nie wolno mu było mieć swego kościoła, iż kościół ten kryć się gdzieś musiał w głębi oparkanionych uliczek i dziedzińców, że religja była prześladowaną, jawność obrzędów wzbronioną etc. etc., w rzeczy jednak samej, krzywda ztąd dla potrzeb jego ducha nie wypływała żadna.

Dziś bowiem, gdy wieżyce kościoła wysoko się wznoszą nad kopuły minaretów, gdy dzwony wzywają uroczyście w każde święto na modlitwę — cóż się dzieje?

Oto... nikt do cerkwi nie chodzi!

W Sistowie, owem sercu Bulgarji, gdzie zresztą już za czasów tureckich istniała piękna, okazała cerkiew, w maju r. z. miejscowy proboszcz wystąpił ze skargą do władzy, iż przez całe półrocze zaledwo ośm osób uczęszczało do cerkwi — a skargę podobną mogliby zdaje się powtórzyć wszyscy inni popi cerkwi bulgarskich.

Prawda, że do upadku religji w Rumunji i Bulgarji wielce się przyczynił stan umysłowy i moralny samego duchowieństwa.

Nie można zapewne twierdzić bezwarunkowo, ażeby pomiędzy popami tamtejszymi nie było ludzi z wyższem wykształceniem i pojęciem ważności swych obowiązków.

Trzeba nawet przyznać, iż obaj dzisiejsi metropolici: rumuński i bulgarski, należą do kategorji światłych mężów kościoła — zanim wszakże wpływ ich oddziała dostatecznie i podźwignie z upadku niższe duchowieństwo, wiele jeszcze czasu upłynie.

Nie prędko też lud rumuński i bulgarski, pozbawiony dwóch czynników postępu: oświaty i religji, umoralni się i uszlachetni.

Ig. Ch.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

«Przyrodnik». Dwutygodnik popularny. Tarnów 1880. Rok 2-gi str. 368.

Ponieważ rzecz dobrą i ogólnemu dobru służącą zawsze poprzeć należy, bez względu zkąd i od kogo pochodzi i pod jaką rodzi się firmą, przeto wbrew zwyczajowi przyjętemu przez dziennikarstwo nasze, które zawsze milczy o zakończonych rocznikach perjodycznych wydawnictw, tegoroczne przeglądy literackie rozpoczynamy przeglądem krytycznym „Przyrodnika“, dwutygodnika popularnego, wychodzącego w Tarnowie pod redakcją i za staraniem profesora Zygmunta Morawskiego. Pismo „Kosmos“ wydawane przez Towarzystwo imienia Kopernika, jest z powodu naukowej ścisłości swych artykułów za mało przystępne dla ogółu publiczności i ludzie mniej fachowo w dziale przyrodniczych nauk wykształceni, nie mieli dotąd w Galicji pisma popularnego, wyłącznie naukom przyrodniczym poświęconego. Brak ten stara się wypełnić redakcja „Przyrodnika“ i o ile to jest możebnem, przy wydawnictwie takiego pisma po za stolicą kraju, wypełnia go wcale udatnie. W ubiegłym roczniku spotkaliśmy się z krótkiemi monografiami zwierząt ssących, ryb, owadów, z obrazkami z życia galicyjskich zwierząt; z urywkami geologicznemi; ze wskazówkami co do konserwowania przyrodniczych okazów i z większem, bardzo jasno, popularnie a przytem umiejętnie opracowanem studjum prof. Mohra: O węglu kamiennym, tłumaczonem z oryginału niemieckiego przez p. M. Wszelaczyńskiego. Artykułami oryginalnemi zasilali pismo przyrodnicy jak: Nowicki, Jachno, Morawski, Boberski, Vogl, Barta, nie licząc innych, którzy dostarczali redakcji dat do imiennictwa rybackiego naszych rzek i potoków. W redagowaniu widać wielkie staranie o podanie publiczności różnorodnej a dobranej treści w każdym numerze i jedyny zarzut jakibyśmy pismu temu uczynić mogli — uważając je zawsze i wyłącznie jako pismo popularne — że zbyt wiele daje rzeczy nie zajmujących żywo jak n. p. spisy gatunków i rodzajów zwierząt, po polsku i łacinie, wśród artykułów swoich współpracowników. Są to rzeczy może ważne, umiejętne, ale dla pisma popularnego niestosowne i czytelnicy ze wzruszeniem ramion mówią o tej erudycji piszących. Radzibyśmy także korektę widzieć poprawniejszą i dbałość o nasz piękny język ojczysty. Są to zarzuty tyczące się prawie wyłącznie formy, a i te podyktowało nam zamiłowanie do przedmiotu i uznanie, jakie się od nas należy każdej rzeczy podjętej w zacnych zamiarach. Każdy numer „Przyrodnika“ czytaliśmy z zainteresowaniem, a jestto już pewne kryterjum udatności pisma; niekiedy czytaliśmy w niem rzeczy całkiem nowe, jak studjum Mohra o węglach; a to znów świadczy, że redakcja rozumie swoje zadanie i wie czem obdarzać czytelników. — To też gorąco polecamy to skromne a zajmujące pismo, tem więcej, że cena jego nikogo odstraszyć, ani może, ani powinna. W bieżącym roczniku mają nastąpić pewne ulepszenia redakcyjne, a z dotychczasowej staranności wydawcy wnioskując, tuszymy, że „Przyrodnik“ stanie się jeszcze więcej udatnym i polecenia godnym. Redakcja od początku zaniechała wszelkiej reklamy dla swego pisma i skromnie pracuje „jak każe duch Boży“, sądząc, że i na tej skromnej drodze „całość sama się złoży“. Oby się złożyła, zainteresowaniem ogółu dla „Przyrodnika“, któremu niech tych kilka słów życzliwej, choć bezstronnej i nieproszonej krytyki, będzie skromną, ale dobrze zasłużoną reklamą.

W. J. Wdowiszewski.

KORRESPONDENCJE.

Wiedeń w Grudniu 1880.

Pozostawiając wielką politykę pismom codziennym, podaję wam kilka wiadomości ze świata literacko-artystycznego, które są u nas na porządku dziennym.

W ostatnich czasach ukazał się tu nowy dziennik: „La Correspondence Autrichienne" redagowany w języku francuskim przez p. Luxemburga. Tym sposobem stolica Austrji posiada trzy czasopisma francuskie, a mianowicie: pomienioną „Correspondance", „Le Danube" wydawany przez p. Mazziniego i „Messager de Vienne" organ p. Bronisława Wołowskiego. Miał tu być także założony nowy wielki dziennik niemiecki, jako główny organ wszystkich odłamów prawicy, lecz jakkolwiek redakcję miał objąć zdolny czeski publicysta p. Jan Lukesz, projekt rozbił się o trudności pogodzenia interesów trzech stronnictw prawicy w jednym organie. Dalej mówią, że p. Skrejszowski, dawny redaktor pragskiej „Politik", który teraz wydaje w Wiedniu tygodnik polityczny „Parlamentär", ma zamienić to pismo na codzienne, p. t. „Vederemo". Nakoniec wiele wrzawy narobiły dziennikarskie zamysły Länderbanku Miano ni mniej ni więcej, jak nabyć główny i poczytny organ Centralistów „Neu. Fr. Presse", przedstawiający kapitał 1.820,000 złr., a to skupując akcje Anglobanku i Unionbanku, w których ręku znajdowały się prawie wszystkie akcje „N. F. Presse." I w samej rzeczy zaczął Länderbank skupować na giełdzie akcje pomienionych dwóch banków, przez co kurs tych akcyj znacznie podniósł, jednakże „N. Fr. Presse" nie kupił, ponieważ znaleźli się kapitaliści, którzy od Anglo i Unionbanku wykupili wszystkie akcje „N. Fr. Presse", która tym sposobem pozostała organem Centralistów i jeszcze zajadlej niż dawniej szkaluje Słowian a przedewszystkiem Polaków. Niepodobna zaprzeczyć, że operacja ta Länderbanku prowadzoną była niezręcznie.

Jeszcze jedna pogłoska dziennikarska i to bliżej nas obchodząca. Od nowego roku ma zacząć wychodzić w Wiedniu nowy polski polityczno-ekonomiczny tygodnik „Ogniwo". Z uwagi, że oprócz lwowskich „Nowin", nie posiadamy podobnego pisma, mógłby ten nowy tygodnik, umiejętnie redagowany, oddać nam rzeczywiste usługi.

Nakładcy wiedeńscy coraz śmielej odważają się na tłomaczenia naszych autorów, przedewszystkiem Kraszewskiego, który znajduje wielu czytelników wśród niemieckiej publiczności. Hartleben wydał po kolei „Hrabinę Kozel", „Ulanę", „Sfinksa", „Jak się pan Paweł ożenił", po których wkrótce mają nastąpić inne.

W świecie teatralnym cisza tutaj zupełna; nowe sztuki z Paryża nie przybywają, a miejscowi autorowie jakoś nie mają szczęścia. W Stadttheater przedstawiono farsę Blumenfelda „Teufelsfelsen" i Lindaua „Gräfin Lea", ale obiedwie sztuki nie doznały powodzenia. Największe jednak fiasco spotkało austrjackiego autora p. M. v. Guttenbrunn, który uważał sobie za obowiązek dokończyć Augier'a „Maison Fourchambault" i napisał dramat p. t. „Des Hauses Fourchambault Ende". Sztuka, pomimo że ją zalecił do grania Laube, upadła, a autor naraził się na pośmiewisko krytyki i publiczności.

M.

TEATR.

Czartowska Ława, obraz ludowy w 4 aktach ze śpiewami i chórami przez J. K Galasiewicza, a z muzyką Wrońskiego, zyskała i u nas, jak się tego należało spodziewać po sukcesach odniesionych na innych scenach polskich, nie małe powodzenie. Jest to rzeczywiście pośród posuchy, jaka od kilku lat zapanowała na polu dramaturgji ludowej, nabytek wcale pokaźny, stojący co najmniej na równi z „Emigracją chłopską," a o tyle wyżej od „Chłopów arystokratów" o ile wyższym jest przeciętny poziom inteligencji bohaterów tu a tam. Nadto *Czartowska Ława* ma tę ogromną zaletę, że autor ustrzegł się szablonowych w tym kierunku sytuacji, tj. pominął milczeniem dwór i karczmę a przedstawił lud wiejski sam u siebie, własnym kierujący się instynktem. Mimo to wcale autorowi nie brakło wątku do osnucia czterech, powiedzielibyśmy aż zanadto długich aktów, bo wniknięcie w głąb duszy i serca tych prostaczków nie mniejsze otwiera pole do spostrzeżeń, niż patologiczne badania w zakresie sfer wyższych; owszem silne antytezy, jak wiara i zabobon, miłość i nienawiść, łatwowierność i podstęp, zwykle w tak skrajnych zarysach występujące u ludu wiejskiego, dają sposobność do tworzenia tem silniej markowanych sytuacyj, jeżeli tylko autor te wszystkie motory psychiczne szczęśliwie uchwycić i wyzyskać potrafi. To zaś po większej części udało się panu Galasiewiczowi, i gdyby nie pewna nieufność, z jaką autor spogląda na pojemność umysłową publiczności, dla której sztukę swą pisał, co go zniewala do zbyt powolnego rozwoju osnowy i zbyt długich djalogów, wyjaśniających często, nawet po dwakroć, to, co dobry artysta jednym gestem uwydatnić potrafi: nie mielibyśmy tej sztuce nic do zarzucenia.

Gra artystów również nie nastręcza nam pola do jakichkolwiek zarzutów, a wystawa była nawet bardzo staranną, tak że całość wywarła na widzach nader miłe wrażenie. Skrępowani brakiem miejsca pomijamy ocenę gry takich artystów jak pp. Zamojski i Zboiński, talent ich powszechnie znany i ceniony; natomiast nie możemy przemilczeć prawdziwej przyjemności, jaką nam sprawił p. Walewski w roli Kazimirza. Cała rola była konsekwentnie prowadzona, a końcowa scena aktu 4. pomyślana i wykonana bardzo szczęśliwie a zarazem efektownie, jest najlepszym dowodem ciągłej pracy i postępu tego młodego artysty. Sympatycznie prezentowała się także pani Patkiewiczowa, która w przyszłości może liczyć na zasłużone powodzenie w podobnych rolach, a wybornym w roli Grzesia Dyrdy był p. Dębicki. Wszystkie inne role były prawie bez wyjątku dobrze odegrane.

Życzyćby sobie wypadało, aby Dyrekcja, przywróciwszy dawne znaczenie niedzielnym przedstawieniom popołudniowym, wypełniała je, o ile możności, podobnemi sztukami jak „Czartowska Ława." Przedewszystkiem jednak należałoby się postarać o kilka nowych sztuk budzących w publiczności zamiłowanie do narodowej spuścizny. Przy tej sposobności przypominamy, że np. Noc świętojańska, Obrona Częstochowy, Kościuszko pod Racławicami, nigdy u nas jeszcze nie przedstawiane, a choćby nawet gdzieś w bibljotece teatralnej zagrzebany Bem w Siedmiogrodzie, niezawodnie chętniej i z większym pożytkiem będą widziane przez niedzielną publiczność, niż „Spirytyści," za którą to sztukę Dyrekcja przecież także tantjemy autorowi opłaca.

R. St.

O KOBIETACH.

Aforyzmy Roberta Hamerlinga.

Tylko kobiety zimne mogą z powodzeniem uprawiać kokieterję. Kobieta z usposobieniem gorącem i wrażliwem gdy kokietuje, podobną jest do żartownisia psującego własny dowcip, gdy przedwcześnie sam się z niego śmieje.

* * *

Mężczyzna tworzący sobie ideał niewieści nie upodabnia go do wizerunku swej żony ani kochanki, choćby je rzeczywiście kochał.

* * *

Smutne to, że tak wiele kobiet nie umie wybrać drogi środkującej między pruderją i zuchwałością. Zawsze one wybierają pruderję albo zuchwałość lub nawet jedną i drugą. Często zaprawdę pruderję łączą kobiety z najwyższem zepsuciem. Ponieważ zarówno pruderja jak i zuchwałość szpecą, przeto kobiety podobne szpetnemi są w chwilach, w których niemi najmniej być powinny.

* * *

Żona lub kochanka gromiona bezustannie i obarczana wyrzutami przez męża lub kochanka za jakieś względem nich przewinienie, może ich odwieść od gniewu — popełniwszy nowe.

* * *

„Wszystkie one są dobroduszne!" Wszystkie? Bynajmniej. Rasa dobrodusznych Filin wymiera. We Francji oddawna już opłakują zniknięcie właściwych „gryzetek." Nie jestem pochopny do brania w dosłownem i ściśle realnem tego słowa znaczeniu szpicruty podawanej przez Sacher-Masocha jego niewieścim postaciom, szpicruty, którą one chłoszczą grzbiety swych kochanków, często na wyraźne ich żądanie. Jednakże kobiecą szpicrutę Sacher-Masocha uważałem zawsze jako trafny i pełen głębokiego znaczenia symbol.

* * *

Z tem wszystkiem krzywdzą nowoczesną kobietę. I nowoczesna może być dobroduszną, wdzięczną, bez granic wdzięczną — w drobnostkach. Daj kobiecie miłość drobną monetą, daj jej to i owo — odpłaci ci się wzruszeniem i poświęceniem. Zginiesz jeśli jej dasz wszystko. Z kobietami należy postępować tak, jak uczynił Chrystus z uczniami w znanej paraboli: należy je częstować wiśnią a nie podkową. Podkowę rzucą w twarz ofiarodawcy; po wiśnie schylą się z przyjemnością stokrotnie.

* * *

Są kobiety, które kochamy aż do grobu — lecz nie po za grób.

* * *

Wiernym być, znaczy: unikać sposobności do przeniewierstwa.

* * *

Każdy mężczyzna może bez obawy dowodzić wobec kobiet, że jest wielbicielem płci pięknej, a nawet galanterja nakazuje nam tak mówić. Natomiast kobieta niezwykleby się skompromitowała dowodząc w towarzystwie, że jest wielbicielką płci męzkiej! Fakt ten charakteryzuje naturalny stosunek obu płci względem siebie. Nie jest zresztą prawem konwenansu, ale raczej natury — co *obowiązuje* mężczyznę, kobiecie nawet nie jest *dozwolonem* — mężczyzna powinien być elegancki, kobieta co najwyżej, zalotną.

* * *

Żaden poeta dotychczas nie opisał rozkoszy czułych korespondencji. Piśmienne miłości słowa rozgrzewają krew silniej od ustnych.

* * *

Łatwiej jest przypodobać się dziewczynie, której serce już zajęte, niż zupełnie wolnej. Nowego konkurenta porównywa ona ze swym *ideałem*, kochanka z *rzeczywistością*.

* * *

Żądać, aby szumny, lecz przelotny entuzjazm, z jakim ludzie kochają, zaspokoić zdołał istotne potrzeby serca, jest to mniemać, że najlepiej zaspokoimy pragnienie człowieka, wylawszy mu na głowę kubek wody.

* * *

Niebezpiecznem jest kobiecie zadać ostatniego tuza i ugodzić w nią w ten sposób, aby nic jej na obronę nie zostawić. Zawstydzone uczucie wskutek porażki i bezsilność rozbudzi w duszy wszystkie złe skłonności; wtedy też dopiero staje się zarozumiałą, wściekłą i wstrętną. Nie należy więc ust jej zamykać; usta bowiem są klapą bezpieczeństwa kobiecej złości.

* * *

Do przekonania kobiet przemawia jedynie logika faktów. Jeśli więc w stanie jesteśmy przemówić do niej tą logiką, nie psujmy wrażenia, usiłując objaśnić logikę słowami i zmusić kobietę do formalnego jej uznania. Byłoby to zrzekłszy się zaledwie osiągniętego zwycięztwa, stanąć na chwiejnym gruncie.

* * *

Pewna młoda dama przesłała mi przed niedawnym czasem rozprawę o istnieniu Boga. Odpowiedziałem jej, że „nigdy Bóg nie tworzyłby kobiety z Adamowego żebra, gdyby przypuszczał, że kiedyś ośmieli się ona splamić atramentem różowe swe paluszki, aby napisać rozprawę o Jego istności.“ Dowiedziałem się następnie jaka była właściwa przyczyna śmiałości młodej damy i mogłem ją wtedy do pewnego stopnia usprawiedliwić. Łączył ją związek sercowy z młodym pisarzem, który w Boga nie wierzył. Dopóki pozostawała z nim w dobrych stosunkach, dzieliła chętnie jego przekonania, gdy się zaś poróżniła a on zagroził jej porzuceniem, uwierzyła, że Bóg być musi.

* * *

Pewna genjalna, romantycznie usposobiona dama, kochała mężczyznę, który niestety był żonaty. Okoliczność ta nie wydawała się jej niezwyciężoną. Udała się tedy do małżonki ukochanego przez siebie mężczyzny. Dzielna gosposia zajętą była właśnie gotowaniem obiadu. „Co za prozaiczne stworzenie“ — zawołała patetycznie genialna nasza dama.“ „Ty gotujesz obiad dla męża, ja wplatam róże idealnej miłości w osnowę jego życia. Jedna z nas musi ustąpić. Ja albo ty. A więc ty! Gosposia wetknęła warząchew za fartuch i zawoławszy męża zażądała, aby zrobił wybór między zupą i idealnemi różami miłości. Ponieważ godzina obiadowa była bliską, wybrał zupę.

* * *

Dwojga ludzi różnej płci nie łączy serdeczny stosunek, gdy chodząc po ulicy rozmawiają ze sobą wiele i życzliwie. Gdy para ta posuwa się zwolna, milcząco, na pozór znużona i znudzona wtedy z pewnością chwile te poprzedziły najsłodsze na ziemi sam — na — sam zwierzenia.

* * *

Tylko mężczyzna niezręczny ośmieli się powiedzieć prawdziwie pięknej kobiecie, że jest piękną, lub prawdziwie dowcipnej, że dowcipna.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Henryka Sienkiewicza utwory ukażą się wkrótce w przekładzie niemieckiem w Lipsku. Tłumaczenia dokona zasłużony tłómacz dr. Lebenstein, któremu Niemcy zawdzięczają najlepsze przekłady z naszych autorów.

Równocześnie wyjdzie tego tłómacza przekład powieści Kraszewskiego pt. „Grzechy Hetmańskie.“

Nakoniec podajemy wiadomość czerpaną z listu Kraszewskiego do dra Lebenstejna, która w kołach literackich wielkie zajęcie obudzić powinna. Oto dosłowny ustęp tego listu: „Co się tyczy mojej *Historji cywilizacji i obyczajów w Polsce i Historji literatury*, są to moje ideały od dawna; Piszę je, ściągam materjał, robię studja przygotowawcze, ale jeszcze dotąd do redakcji ich ostatecznej nie przyszedłem. Zdaje się, iż w końcu obie razem je z sobą połączę, podług mojego systemu. Gdyby książka ta miała się ukazać, zawsze Panu Dobr. dam pierwszeństwo do przekładu i postaram się aby mu arkusze pojedyncze w miarę drukowania dostarczone były“.

*** Arcyksiążę Rudolf, następca tronu austrjackiego, zaczyna wyrabiać sobie imię litorackie.

Wydana niedawno przezeń książka: „Piętnaście dni na Dunaju,“ zjednała sobie nader przychylne przyjęcie w samodzielnych i nieuprzedzonych kołach.

Obecnie wydał on nową monografię naukową p. t. „Zbiór rozmaitych spostrzeżeń ornitologicznych“, która zarówno dla ludzi fachowych jak dla miłośników rodu ptasiego w ogóle, może stanowić nader przyjemną i pouczającą lekturę.

*** Wkrótce wyjdą z pod prasy trzy tomy „Powieści i szkiców obczajowych“ p. Ludwika Niemojowskiego.

*** Wyszedł z druku nakładem Lewentala w Warszawie przekład obu części „Fausta“ Göthego, dokonany w sposób iście artystyczny, przez Feliksa Jezierskiego, b. redaktora „Bibljoteki warszawskiej“.

Jest to pierwszy przekład całości utworu w języku polskim, drukowany bowiem dawniej, pióra Krajewskiego, obejmował tylko jedną część.

Do tekstu załączono objaśnienia, które dla przeciętnego czytelnika stanowić będą ważne ułatwienia w rozumieniu trudniejszych ustępów.

*** „Złotej księgi szlachty polskiej“ wydawanej w Poznaniu wyszedł rocznik trzeci.

*** W Berlinie p. Pacykowicz zaczął wydawać w języku francuskim dziennik „La Russie.“

*** P. Henryk Grabiński, b. profesor krakowskiej Szkoły sztuk pięknych, wydał „Szkołę Rysunku krajobrazów“ podług studjów z natury, składającą się z 26 wzorów rozmaitej trudności.

*** Do konkursu na pomnik dla Wiktora Emanuela stanęło też kilku naszych artystów.

*** Krakowskie Towarzystwo Sztuk Pięknych rozsprzedało w 1878 r. 4308, w następnym 5144 a w bieżącym 6523 akcyj i miało przychodu przeszło 40,000 złr.; na przyszłoroczne premium wyznaczono Juljusza Kossaka „Matka Chrystusa.“

*** W sali uniwersyteckiej w Królewcu Piotrowski ukończył fresk przedstawiający „Śmierć Sokratesa“.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Redakcja „Neue freie Presse“ otworzyła w kolumnach tego dziennika rubrykę stałą, w której w sposób najzjadliwszy występuje przeciwko wszelkim moralnym i materjalnym interesom kraju naszego, bezczeszcząc zarazem wszystko, co jest najświętszem i najdroższem uczuciom naszym.

Dzienniki nasze słusznie więc nazwały czynem niepatrjotycznym, a nawet krajowi wrogim, ktoby u nas od Nowego roku trzymał „Neue freie Presse.“

*** Warszawskie Towarzystwo lekarskie wybrało komitet do zaproponowania warunków, na jakich mogłyby się oprzeć stosunki lekarzy z publicznością.

*** Zapewniają, iż w roku bieżącym urządzony zostanie konsulat rosyjski w Krakowie.

*** Podatek od sali w Królestwie Kongresowem ma być od dnia 13. stycznia 1881 roku zupełnie zniesiony.

*** W Galicji zawiązało się Towarzystwo dla eksploatowania nafty, pod firmą „Societé franco-polonaise pour l'exploitation du pétrole en Galicie.“

*** Z Messyny donoszą: Od roku zeszłego hr. Amigo zaprowadził w swoich, niedaleko ztąd położonych dobrach uprawę herbaty. Roślina wybornie się przyjęła, a liście jej w niczem nie ustępują uprawianym w Chinach. W celu dalszego racjonalnego postępowania z herbatą sprowadzony zostanie do Messyny fachowo uzdolniony Chińczyk.

*** Ogólna przestrzeń osuszonych bagien poleskich do końca roku zeszłego wynosiła 16 milonów morgów.

*** L. Sonderberg, zegarmistrz zamieszkały w Kopenhadze, skonstruował w tym czasie zegarek nakręcający się sam za pomocą prądu elektrycznego.

Sprężyna zegarka utrzymuje się w ciągłem naprężeniu za pośrednictwem elektromagnesu, tak, że chód czasomierza nie ulega żadnej przerwie.

Zegarek może chodzić dłużej niż rok i nie potrzeba nic innego robić, jak opatrzyć baterję raz, a najwyżej dwa...

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.